№ 26. Warszawa, dnia 27 (15) Czerwca 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał trzeci roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Lecz Ada wciąż zapadała w milczenie i źrenice przysłaniała rzęsą. Urok jego nad nią wzrastał za każdem słowem i zbliżeniem. Tajała poprostu pod wpływem czarnych jego oczu, które podobnie jak usta ciemno purpurowe, umiały niezmierną słodyczą w uśmiechu ujmować. I, pozbawiona dowcipu, niemal przytomności, jak w zaklęciu, tylko w duchu powtarzała machinalnie: „nie dziwię się, że kobiety za nim szaleją, nie dziwię się, nie dziwię."

On zaś, w zachwycie nad jej onieśmieleniem wdzięczył się, przymilał, i tą miękkością podbijał ją do reszty, lepiej niż zuchowatą siłą i energią, które zwykle w słowach jego brzęczały nakształt dźwięków żelaza pod młotem.

Wtem gałązki odłamek, zawisły gdzieś w górze na innych, osunął się i spadł na ramię Ady, w całem swem białem futerku ze szronu.

Ona drgnęła.

Kościesza się uśmiechnął, lecz pochylił i gałązkę zdjął delikatnie.

— Pani się przestraszyła, tego źdźiebełka śniegu?

— Ach, bezwiednie... Bo tak ciągle myślę o tych różnych przygodach.

— Z mojego życia? Ależ to dzieciństwo!.. Lecz dziękuję, dziękuję! — dorzucił serdecznie i oczu jej szukał.

Widząc jednak, że płonie pomieszana, za rękę ujął ją poruszony.

— Niech pani ślizga się, to piękne! Będę patrzył, dobrze? — prosił i palce jej zlekka uścisnął.

Ona poczerwieniała jeszcze mocniej, i odurzona, automatycznie ruszyła z miejsca.

Niuta wnet znalazła się obok.

— Chodź, we trójkę się puścimy! — namawiała, usłyszawszy zachętę Kościeszy. I pomknęli.

Adryan patrzył za nimi przez chwilę, potem do pani Kermeńskiej się zwrócił.

— Jak gazella smukła ta panienka, śliczna! prześliczna! A serce zdaje się, jak wosk miękkie... Ot, prawdziwa Polka. Bo i nie ma, jak te czyste, święte niewiasty nasze! Rumienią się od spojrzenia. Porównać je z kobietami innemi. Tamte utajone kabotenki, kurtyzany... Jagody jej pokraśniały, gdym za rączkę ujął, proszę!

I począł się rozwodzić w uniesieniu. Pani Kermeńska zaś widząc, jak żelazo samo się rozgrzewa, usilnie kuła je z radością.

Podczas, gdy tu prowadziła się ta rozmowa, tam na drugim końcu trójka zamieniała się w całą gromadę.

Kostunia Janicka bowiem, zaniepokojona wielce zjawieniem się Kościeszy, puściła kantem zazdrość o Witolda, który poprzedniemi razy czepiał się Ady jak natrętna mucha, i paląc obawy o niego na ołtarzu ciekawości, przypadła; a chcąc koniecznie wkręcić się w towarzystwo, zaproponowała wyścigi. Tu Romus także się znalazł, poczem wszyscy bez namysłu, ustawiwszy się w trzy pary, puścili się i rozszaleli. Każdy wlewał w rozpęd jakąś osobistą gorączkę, ambicyą, żądzę i chlubę, oprócz chęci wyróżnienia się biegłością; pędzili też jak waryaci.

Ada wiedziała doskonale czyje oczy za nią gonią, swoje przymykała rozmarzona, już wyobrażając sobie zamarzłe przestrzenie bez granic, i jego na tych obszarach, jak punkt, jak pyłek, do zdjęcia podmuchem.

Objechali raz dokoła, Niuta zwolniła biegu, wycofując się z narzeczonym ze współzawodnictwa. Ale czwórka pozostałych dalej mknęła bez uwagi, bez pamięci, roznamiętniona ruchem i muzyką, która przygrywała raźnego mazura.

Wtem Ada zachwiała się i upadła. Lubo zaś w mgnieniu oka się podniosła, ledwo jednakże stanąć mogła wskutek silnego bólu w kostce, i ani kroku naprzód.

Zamęt wszczął się dokoła. Akademicy, choć tego wieczora odprawieni ze służby, nadbiegli, doktór Wirski także się znalazł, przywabiony skupianiem się widzów i ze swego stanowiska, śmiało głos począł zabierać, jakkolwiek Ada odprawiała go, oświadczając, że wypadek nic wspólnego z nowotworami nie ma.

A tymczasem podsunął się i Kościesza, i na nikogo nie bacząc do niej się przecisnął.

— Pani uczuwa ból? Pani nogi podnieść nie może? Proszę nie forsować! Pani się oprze na mojem ramieniu, ot tak, mocno, śmiało — mówił absolutnie, choć oczyma obejmował ją z tkliwością, jak gdyby chciał na ręce wziąć, i jak dziecko przenieść.

— A ja ruszać się z miejsca nie pozwalam— zaprotestował Wirski.

— Ach, doktorze! — wołała Ada. I przekomarzać się z nim poczęła.

Kościesza spojrzał na jedno, na drugie. Pomiarkował, że to znajomy, a medyk z zawodu.

— Co pani zatem rozkaże? — odezwał się.— Tu nie ma foteli na kółkach, na płozach?

— Są, są! mogą być — wołano.

W tej zaś chwili Romus już z jednym podjeżdżał zgrzany i spocony, lecz pełen dumy z chybkości swego pomysłu i czynu. Łyżew u nóg nie miał, ale sunął raźnie i rąk z oparcia nie spuszczał, by nie dać się z roli popychającego wyrugować.

W minut parę Ada na fotelu usadowiona jechała w licznem otoczeniu znajomych i ciekawych.

Cały ten wypadek wraz z gwarem, jaki w następstwie powstał, zupełnie rozproszył jej chwilową cichość i oszołomienie. Już zalotnie zwracała głowę ku Romusowi, a coraz nowemi dowcipami odprawiała Wirskiego, który się odgrażał, iż mimo oporu nadwerężoną nogę opatrzy.

Kościesza z Niutą i Stefanem debatowali tymczasem po drodze, co to być może: złamanie, czy zwichnięcie. Panna Janicka zaś wielce obrotowi rzeczy nie rada i urażona tem, że nikt uwagi i czasu jej nie poświęcał, zabrała Witolda i ostentacyjnie odeszła.

Tak stanęli wreszcie przy pani Kermeńskiej, która przez obawę poślizgnięcia na miejscu uwięziona, teraz dopiero poczęła roztaczać troskliwość i trwogę.

— Ależ Ada okrywki nie ma! Zaziębi się, biedactwo! Dajcie jej wina, herbaty, szal na nogi!... A sanki zamówić co rychlej! — wołała, przez gorliwość rozsyłając wszystkich na różne strony, i w końcu niknąc... sama.

Nieopodal pozostał wszakże Romus, Kościesza i doktór Wirski, który znów naprzód wystąpił.

— Trzeba nóżki rozbroić — mówił z ochotą i z właściwym sobie angielskim humorem gotując się na tę przyjemność. Aczkolwiek bowiem z partyi „flirtu" wycofał się przezornie, zachował wszakże pewną słabostkę do „tej piękności." Ręce zacierał.

Lecz Ada broniła.

— O, nie pan, nie pan! — wołała przekornie. — Zdejmie łyżwy ten, co je przypasywał. Panie Romus, proszę!

Doktor głową pokręcił i usunął się całkiem na bok. A Romus rzucił się oczywiście na klęczki, uszczęśliwiony, że mu oczy ledwo nie strzeliły z orbit.

Kościesza zaś stał wciąż milczący, i wszystko jeno chwytał bacznie wzrokiem i słuchem, ciekawy, trochę i zdumiony.

Wreszcie panna Smieńska wysunęła swoje zgrabne stopki w wysokich, obciśle zesznurowanych bucikach.

Romus wziął lewą w rękę, rzemyki odpinać począł.

— To ta boli?

— Nie, prawa.

Ujął zatem drugą z kolei. Ręce mu drżały, na skroniach miał krople potu.

— Łyżwa się przekręciła, szrubka pękła, musiała pani upaść — rzekł. Ale z kolan nie powstawał, nóżki z rąk nie puszczał, patrzył w nią wzrokiem rozognionym, a słupowatym, wreszcie pochylił się i twarz do tego żywego cacka przytulił.

Ada się w głos rozśmiała.

Kiedy i gdzie student zniknął, nie wiedziała. Lecz gdy oczy nagle podniosła na Kościeszę, oblał ją szkarłat, a potem bladość.

On bowiem jednem spojrzeniem, jednym szybkim ruchem głowy i figury rzucił jej: „To więc tak? tak? A to ślicznie!"

Poczem ramiona wzniósłszy nieco w górę, powiódł ręką po bujnej sfalowanej brodzie, mimowoli usta złożył jak do zagwizdania, i z całym chłodem odwrócił się, podsuwając kroków parę ku stronie, gdzie panie Kermeńskie rozpatrywały okrycia w obawie, czy ich nie pozamieniano.

Przez głowę Ady, jak błyskawica przeleciała myśl: przepadło! wszystko przepadło!...

W sercu ją zakłuło, oczy mrok zaćmił. Czoło opuściła na oparcie.

Lecz w tej chwili już była przy niej pani Marya z Niutą.

— Dziecko, okryj się! Przeziębniesz, zachorujesz! Co? bardzo boli? Możesz stanąć? — dopytywały.

— A... nie próbowałam... zapomniałam...

— Ależ tobie słabo! Takaś blada! Zemdlejesz! Może wina... panie Kościesza, niech pan z łaski swej pobiegnie.

— Nie, nie! dziękuję!

Adryan wszelako odszedł.

Po chwili zjawił się natomiast Wirski w asyście pomocników, którzy Adę przenieśli do sali.

Tam przy opatrunku doktór skonstatował jedynie zwichnięcie stawu w kostce.

W pół godziny wszyscy znów się zgromadzili razem, by na zakończenie całego epizodu, wypić po kieliszku wina. Kościesza je nalewał i podawał z wielką uprzejmością i galanteryą, w której wszelako przebijała pewna ironia, poprzednio rysom jego i mowie obca.

Wkońcu podniósł toast:

— Panowie! wypijmy na cześć naszych kobiet, Polek, które chcą i umieją strzedz czystości i spokoju serca, a świętości rodzinnych ognisk! Ot, w tem szczęście jednostek i społeczeństwa! w tem wartość i powab nawet dla tułaczów z upodobania, czy z musu. Oby innych niewiast na naszej ziemi nie bywało! — zakończył, przemowę zwracając do pani Kermeńskiej.

Ada jednakże rozumiała jej znaczenie i czuła się ogromnie upokorzoną. Próżno usiłowała nadrabiać miną i humorem; oczu podnieść na Kościeszę nie śmiała.

On zaś w obejściu względem niej zachował do końca tyleż chłodu oficyalnej grzeczności dobrze wychowanego człowieka, ile przedtem okazywał serdeczności i zapału.

XIII.

Specyalista chirurg, stary znajomy pani Męckiej, natychmiast tego wieczora wezwany, stwierdził opinią doktora Wirskiego. Nogę naciągnął, obandażował, kompresami okładać kazał i tak pacyentkę, jak jej opiekunkę, bardzo wypadkiem zatrwożoną, uspokoił.

Ada wszakże długo zasnąć nie mogła. W miarę jak noc zapadła w głuchą ciszę, ona uczuwać poczynała w głowie i skroniach szum coraz głośniejszy. Zdawało jej się, że każdy nerw gra w niej innym tonem; że z kątów słabo oświetlonego pokoju wyskakują jakieś postacie, twarze, słowa, muzyka w uszach jej rozbrzmiewała walcem, mazurem, a w takt dźwięków przed oczyma roiły się tłumy.

Później znów widziała Romusa, na kolanie przygiętego przed sobą, gdy nadto pochylił głowę; słyszała śmiech swój, śmiech, który wnet lodem ściął pocisk oczu ciemnych, oburzeniem ciskających i naganą.

— O, tak! pogardza mną, wiem, wiem! — pomyślała. — I osądził mnie za stokroć gorszą niż jestem, za zepsutą na wskroś kokietkę. Sam do łatwych zdobyczy przyzwyczajony, pomiata niemi, poniewiera. Co za fatalność!

Ogień bił jej do skroni, do lic.

— Ona miała znieść pogardę czyjąś? Pozostać z nią, i nie módz jej zedrzeć? i czuć, że na nią zasłużyła?

Ta myśl piekła ją. Zżymała się na Romusa, na siebie, lecz nie mogła faktu zmazać, cofnąć, lub wyrwać nawet z własnej pamięci.

— Śmiałek! gołowąsy śmiałek! — ciskała. — i ten już do zuchwalstwa zaprawny! — Ale w uszach słyszała: „uderz się w piersi, twoja wina, rozdrażniłaś go, rozgrzałaś, nie tylko tego wieczora pracowałaś na to."

— A! czemu *on* to widział!... Czemu ja się roześmiałam? — powtarzała wreszcie, czując, że to ją w oczach Kościeszy zgubiło.

Według niej zaś takie lub inne postąpienie, było jedynie dziełem pomyślnego, lub mniej szczęśliwego natchnienia chwili. Nie rozumiała, że człowiek nagle zaskoczony, gdy nie ma czasu do namysłu, działa impulsywnie, zdobywając się jedynie na czyn, na jaki go stać. Nie okaże zatem cnoty, skoro jej nie posiada, równie jak odwagi, gdy tchórzem podszyty.

— O tak, gdyby nie ten śmiech!—myślała. — Ale... i cóż mnie obchodzi ten człowiek obcy, którego ledwo kilka razy widziałam — próbowała sobie tłómaczyć. Na samo jednak wspomnienie o nim uczuwała ciepły prąd, który wstrząsał nią przy jego zbliżeniu, na dźwięk głosu i tak nieprzepartą siłą pociągał, a teraz rwał się w niej i dokoła, tem jednem ostrem spojrzeniem

przecięty, chłodem, co wionął i pieściwość jego wzroku i mowy zdmuchnął, jak mrozem zwarzony.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

POEZYA NIEMIECKA

OSTATNICH CZASÓW.

(Dokończenie.)

W roku 1886 wydał on zbiór swoich utworów p. t. „Księga naszych dni.” Tchnieniem nienawiści przeniknięte są nawskroś te pierwsze prace poety. Wyraźna, na każdym kroku rzucająca się w oczy tendencya obniża ich wartość artystyczną. Bogaci są u niego demonami bez wyjątku, ubodzy chodzą w szatach anielstwa. Oto np. „Dwa obrazy.” Obraz pierwszy: pałac wspaniały, pozapuszczane rolety, na ulicy pod oknami rozesłana słoma, po wykwintnych salonach cicho, na palcach snuje się służba — to jaśnie pani ma migrenę. Obraz drugi: w ubogiej izbie, na garści barłogu kona nędzarka, bez opieki, bez pomocy, bez starań. Uproszony lekarz przybywa nareszcie, przybywa zapóźno.

Holz lubuje się w takich kontrastach, w wykrzyknikach gwałtownych, efektach jaskrawych. Mimo to nie udało mu się zdobyć popularności. Tłumy instynktem odgadują w nim frazeologa raczej, niżeli szczerego obrońcę pokrzywdzonych.

Inaczej rzecz się ma z Karolem Hencklem. Urzędowy poeta stronnictwa radykalnego cieszy się naprawdę miłością ludu. Umiał wniknąć w dusze cierpiących. Przemawia mową ich skarg, ich bólów i oburzeń.

To też piosenki jego znajdują się na ustach wszystkich. Jest on zresztą prawdziwym artystą, piszącym z wewnętrznej potrzeby, nie dla osiągnięcia z góry zamierzonych celów. Wydał już sześć tomów swoich poezyj, z których drobny ale charakterystyczny urywek przytoczymy tutaj w streszczeniu: W melancholijnych strofach przemawia poeta do chorej nędzarki, przemawia głosem serdecznego współczucia, głosem kojącym, łagodnym, cichym jak szmer padającego deszczu. Odczuwamy wzruszenie poety, wiemy, że chciałby niezmierną słodyczą wpół dosłyszalnych dźwięków swej piosenki ukoić cierpienia nieszczęśliwej. Wreszcie podnosi głos, „uśnij—powiada,—uśnij biedna matko, i niech ci się marzy, że syn twój, syn, którego mlekiem twej piersi karmiłeś, leci na czele zastępu bohaterów. Oni położą kres wszystkim cierpieniom ludzkości.

Patrz, oczy jego błękitne spoglądają w przyszłość pełną świateł, w czasy wolne. Żelazne ramię jego trzyma w górze czerwoną chorągiew sprawiedliwości.”

Proza, rozumie się, nie może oddać ani wdzięku pierwszych, ani siły końcowych strof, ani tego szczególnego wrażenia, które z bezpośredniego zestawienia tych dwóch pierwiastków powstaje.

O ile początki ruchu literackiego, o którym mówimy charakteryzowała skłonność do występowania przeciwko niesprawiedliwościom dzisiejszego ustroju społecznego, do brania w obronę szarego tłumu słabych i nędznych przeciwko jednostkom silnym i uprzywiljowanym, o tyle w dalszych przeobrażeniach swoich przybrał on zupełnie odmienne znamiona, a nawet zwrócił się w kierunku wprost przeciwnym. Przyczyny zwrotu tego przedstawiają się dość jasno.

Formy społeczne, marzone przez stronnictwa radykalne, jako krępujące w wysokim stopniu swobodę jednostki, musiały wzbudzić wstręt w organizacyach artystycznych.

To, co stanowiło upragniony ideał reformatorów społecznych, to w oczach ludzi o wyobraźni gorącej, bujnym temperamencie, umyśle nie znoszącym szranek, jednem słowem w oczach całej niemal rzeszy poetów-artystów, zaczęło tracić z czasem pierwotne idealne zarysy, zamieniało się powoli w więzy ohydne, które garść doktrynerów zamierzyła narzucić jednostce w imię dobra ogółu. Ustrój, który reforma społeczna miała przynieść światu, poczęli uważać za stokroć nieznośniejszy od istniejącego obecnie.

Prawo jednostki! — zabrzmiało nowe hasło, i znalazło wnet oddźwięk żywy i silny.

Zwrotu tego jednak nie należy uważać za cofnięcie się z drogi rewolucyjnego pochodu w przyszłość marzoną. Przeciwnie, jest to wysunięcie się o krok przed stronnictwa radykalne. Tu już nie o obronę upośledzonej większości chodzi, tu „każdy patron sam za sobą,” jednostka każda buntuje się przeciw społeczeństwu całemu.

Słusznem zresztą jest spostrzeżenie Juliusza Lemaitre, który powiada, że „z małymi wyjątkami w literaturze tkwi zawsze pierwiastek rewolucyjny, gdyż zadaniem jej istotnem jest marzyć, i czytelnikom poddawać marzenia o życiu piękniejszem, harmonijniejszem, zgodniejszem ze sprawiedliwością, niż to, którem żyjemy.”

Indywidualiści są to duchy z życiem obecnem najbardziej pokłócone, a tem samem najjaskrawiej rewolucyjne.

Teoretykiem, prawodawcą, bodaj że twórcą indywidualizmu w Niemczech był Fryderyk Nietsche. Czytelnikom naszym znane są w ogólnych zarysach doktryny i marzenia tego dziwnego człowieka, który z bezwzględnością okrutną głosił, że miliony istnień średnich poświęcić warto, by wyhodować jedną jednostkę, przechodzącą zwykłą, przeciętną miarę ludzką, jednego *nadczłowieka*. Wpływ jego na całą literaturę niemiecką ostatnich czasów był olbrzymi. On sam raczej poeta niż filozof jest zpewnością najpotężniejszą i najoryginalniejszą postacią tego młodego świata, rwącego się gdzieś, ku nowym a nieznanym krainom. To, co nazywano systemem jego, jest to marzenie poety-demona, marzenie nie pozbawione cech wielkości i siły. Styl Nietschego oryginalny, impresyonistyczny w niemałym stopniu przyczyniał się do wzmożenia czaru, który idee jego wywierały na niektóre umysły.

W obozie indywidualistów najwybitniejszą po Nietschem postacią jest baron Detlev von Lilienkron.

Szczególna to osobistość. Jako oficer pruski brał udział w wojnach, których szczęśliwy rezultat rozszerzył granice ojczyzny niemieckiej. Następnie prowadził żywot awanturniczy. W czterdziestym roku życia oddał się literaturze. Wydane dotychczas cztery tomy poezyj jego to las dziewiczy, pełen upajających woni. Wszystko tu silne, bujne, świeże, ale i dzikie zarazem. Tu wszystko tchnie radością, zdrowiem, życiem, ale życiem fizycznem czysto. Autor nie zna żadnych walk duchowych. Natura jego gorąca, namiętna nie znosi więzów. Bez poczucia praw moralnych, bez skrupułów, bez przesądów, jest to człowiek, któremu ani dobro, ani zło nie imponuje.

Kreśląc program idealnej rzeczypospolitej swojej, Plato usunął z niej zupełnie poetów. A jednak w takiej rzeczypospolitej właśnie, poezya mogłaby być klapą bezpieczeństwa, przez którą uchodziłby nadmiar sił żywotnych, z niebezpieczeństwem dla całego organizmu nagromadzony w jednostkach tego rodzaju, jak baron von Lilienkron. W człowieku tym odżywać się zdają żadnymi względami niekiełznane instynkta przodków, możnowładców średniowiecznych, tych w swoim rodzaju *nadludzi*, żyjących po za prawem, poza państwem, kierujących się jedynie namiętnością własną i zachceniem.

Gdyby żył w owych wiekach, Lilienkron byłby jakimś *raubritterem*, jakimś panem skalnego zamczyska, postacią, którą strach i zgroza osnułyby tysiącem legend. Dziś jest poetą indywidualistą, który burzliwe pierwiastki swej natury wyładowywa w utworach pełnych siły i dzikiego piękna.

Lilienkron znalazł w Niemczech wielu naśladowców. Najbardziej utalentowani z pomiędzy nich są Gustaw Falke, Julian Bierbaum i Ryszard Dehmel, tłómacz Verlaine'a.

Do indywidualistów także zaliczyć trzeba zmarłego młodo Hermana Conradi. Na poecie tym odbił się widocznie wpływ Beaudelaire'a. Jego „Pieśni grzesznika” są niemal przeróbką z „Fleurs du mal”.

Cyniczniejszy od Beaudelaire'a tak czarnemi barwami namalował siebie Conradi, iż czytając go, mimowoli przychodzi nam na myśl, że to jest poza, i że w istocie poeta nie był wcale tak złym, jak mu się podobało przedstawić nam.

A teraz przejdźmy do symbolistów.

„Porzućcie ziemię, opuśćcie ziemię, zostawcie ją, niech gnije wciąż!

Nad czarnym aksamitem łąk unoszą się piękne purpurowe anioły, a złote pukle ich włosów połyskują szkarłatem na zielonem niebie mego świata marzeń

Porzućcie ziemię, opuśćcie ziemię, zostawcie ją, niech gnije wciąż!

Nad białemi kopułami z bursztynu unoszą się błękitne gołębice, a szafir skrzydeł ich błyszczy na zielonem niebie mego świata marzeń.

„Porzućcie ziemię, opuśćcie ziemię, niech gnije wciąż.

„Na złotych wodach pokrytych pianą igrają rybki srebrzyste, długie ich skrzele błyszczą na zielonem niebie mego świata marzeń.

„Nienawiść ziemi! Nienawiść ziemi!”

Taką poezyą wydrukował przed dwoma laty organ młodych „Moderne almanach der Musen.” Autor jej Paweł Scheerbart jest jednym z pierwszych pomiędzy symbolistami młodych Niemiec. Jak widzimy ów „świat marzeń” poety od rzeczywistego różni się tylko szczególnem przemieszczeniem barw. Zresztą wszystkie symbole swoje wziął autor z pogardzonej i znienawidzonej ziemi.

Nie wszyscy symboliści czują do niej taki wstręt. „Ziemio, kocham cię!” — woła Paweł Remer we wstępie do zbiorku swych utworów, zatytułowanego „Pod łukiem tęczy.”

Odmienna też to zupełnie organizacya. Remer nie oburza się na rzeczywistość, ponieważ ogląda ją zawsze w czarodziejskiem oświetleniu poezyi. Oto w streszczeniu jedna z jego poetycznych bajek, których zbiór wydał przed niedawnym czasem: „W jasny poranek wiosenny, pośród zielonych pol, nad któremi unoszą się skowronki, idzie gościńcem starzec. Idzie i wzdycha ciężko. Ciężar lat i trudów pochylił go ku ziemi, wzrok zasnuł mgłą; myśl zmęczona pląсze się w starej głowie. Do starca podchodzi dziecię, i zaczyna z nim rozmowę. Mówi o szkółce, do której uczęszcza, o swoich uciechach, psotach, zabawach. Starzec słucha obojętnie. Co mu tam zabawy dziecinne! Coraz mniej uważa na słowa dziecka, posuwa się powoli, głowę zwiesił i wzdycha. A dziecię przestało szczebiotać, i odeszło smutne.

Ej biedny starcze, wiosna przysłała ci młodość twoją, a tyś jej nie poznał!"

Przyznać trzeba, że w tym obrazku dużo jest wdzięku i myśli.

Scheerbart i Remer piszą poetyczną prozą, co zresztą było i jest w literaturze niemieckiej zjawiskiem dość zwykłem. Wogóle poeci niemieccy ostatnich czasów zdradzają skłonność do wyswobodzenia się, o ile możności, z pęt formy, z pęt rymów i rytmów. Poeta nie potrzebuje prawideł — twierdzą, — wewnętrzne poczucie harmonii wystarcza mu. Rym nadaje dziełu martwą piękność marmurowego posągu. Dzieło, w którem słowo płynie swobodnie, ma urodę żywego ciała.

H. C.

Z prac psycho-fizyologicznych

r. 1895.

Postępy dokonane na polu psychologii doświadczalnej w ostatnich czasach wywołały konieczność streszczenia ich i uporządkowania. Zarówno potrzeba ugrupowania luźnych obserwacyi uczonych, jak objaśnienia zjawisk zagadkowych dotąd dla psychologa, wreszcie zabezpieczenie samo przed zapomnieniem, tego co nauka zaregestrowała już w poczet swoich zdobyczy, złożyły się na publikacyą nader użyteczną i interesującą dla każdego oświeconego umysłu.

Od czasu jak metoda doświadczalna i obserwacya przyszedłszy w pomoc nauce, zrobiły z psychologii gałąź nauk pozytywnych i prawą rękę biologii, widzimy codziennie przybywające nowe odkrycia i spostrzeżenia przedtem nieznane. Dotąd gubiono się w tym lesie, aż wreszcie dwaj uczeni pp. Binet i Beanis przyszli na szczęśliwą myśl stworzenia organu urzędowego Laboratoryum psychologii fizyologicznej istniejącego przy Sorbonie Paryzkiej, której ci panowie obaj są uznanymi przedstawicielami. Rocznik ten nosi nazwę: „Rok psychologiczny." Pierwsze jego wydanie wyczerpane było bardzo szybko w roku 1894, a obecnie wyszłe w tej samej formie sprawozdanie za rok 1895, zawiera prace oryginalne uczonych jak Ribot i Bourdon, wymieniony powyżej Binet, zarówno jak studya i rozprawy Laboratoryum Psychologicznego, przeglądy, rozbiory i wszystko w ogóle, co się w tej gałęzi wiedzy ukazało w roku 1895.

Tom obejmuje 1000 z górą stronnic, więc zaznajamiać w tem miejscu czytelnika z jego treścią, byłoby niepodobieństwem zupełnem, możemy tylko biorąc jako przykład coś z części popularnej, a zatem szerokim kołom czytelników dostępnej, dać wyobrażenie o wielkiej, praktycznej donioslości tej książki zbiorowej.

Weźmy naprzykład psychologją dziecka, ze względu, że jest to przedmiot zaprzątający dzisiaj pierwszorzędne umysły w tej gałęzi wiedzy. Oto Binet daje nam tam swoje studyum nad uczuciem strachu w świecie dziecinnym. Dzięki kwestyonaryuszom rozsyłanym do wszystkich prawie pensyonatów francuzkich—badaniom przeprowadzonym z dorosłymi—i własnej obserwacyi, doszedł ten uczony do wniosków nader ważnych i stanowczych, co do oznak strachu, stanu zdrowia, charakteru intellektualnego i moralnego dzieci bojaźliwych, stosunku tych ostatnich do ilości dzieci normalnych; wreszcie dochodzi on przyczyn i wskazuje sposoby traktowania indywiduów podobnych. Podajemy tu kilka wyników tych badań, które wolno nam do bacznej rozwagi matek i wychowawczyń polecić z nadmienieniem, że nauka przyjmuje dzisiaj te pewniki jako stanowcze.

Nic ma żadnego związku między rozwijaniem się u dziecka uczucia strachu, a rozwojem jego intelligencyi.

Dzieci o żywej wyobraźni są w ogóle podatne uczuciu bojaźni. Jest w ogólnym rachunku trzy razy więcej bojaźliwych dziewcząt, niż bojaźliwych chłopców. Przyjąć tu wszakże wypada pod uwagę i to także, że szczerość dziewcząt pozwala im na zdradzanie uczucia bojaźni, podczas gdy ambicya nakazuje młodemu chłopcu ukrywać to uczucie aż do ostatnich granic możliwości.

Uczucie bojaźni jest jednem z uczuć udzielających się najmocniej; pod tym względem przewyższa ono nawet uczucie śmiechu. Weźmy przykład:

W pewnej szkole żeńskiej podczas lekcyi piorun uderza w budynek sąsiedni, a wraz z tem potoki deszczu zalewają dziedziniec. Instyktownie zwracają się wszystkie uczennice do przełożonej. Ponieważ ta kobieta umiała zapanować nad sobą, i nie zdradziła bojaźni żadnej, dzieci pozostały spokojne i prawie, że nie przerwały sobie zajęć. W analogicznym zupełnie wypadku krzyk osoby dorosłej oddziaływa na wszystkie dzieci, które manifestują przerażenie prawdziwe.

Jak traktować u dziecka podobną właściwość ustroju, gdy się ją stwierdzi w drodze doświadczenia? Binet wysnuwa ztąd całą metodę terapii negatywnej: Nie używać względem takiego dziecka kary cielesnej — nie stosować doń pogróżek — wystrzegać się ośmieszania tej ułomności—usuwając wszelkie przyczyny, pozostawić w możliwym spokoju wyobraźnię — Z psychologii dziecka znajdujemy tam jeszcze: „Myśli o rozwoju umysłowem dziecka, o obowiązkach, i dane co do wrażliwości dziecięcej."

Tom przeważnie bogaty jest w dokumenta dotyczące, anatomii i fizyologii systemu nerwowego. Wrażenia słuchowe i wzrokowe. Doświadczenia w dziedzinie psycho-fizyki i psychometryi.

Dla pedagogów z zawodu rocznik ten jest niemal konieczny; rodzice, którzy są w stanie czytać krytycznie te prace specyalne, nie powinni ich zaniedbywać.

Już dzisiaj w wychowaniu nie można iść omackiem, jak się chodziło dotąd. I trudność warunków bytu, i obniżona wytrzymałość pokolenia nie pozwalają na pracę niesystematyczną i nieprowadzącą bezpośrednio do celu. O tem nigdy dosyć pamiętać nie mogą rodzice.

K.

Paweł Bourget.

W JAKIM WIEKU KOCHAMY?

(Z opowiadań reportera dziennikarskiego.)

(Ciąg dalszy)

Grzebiąc ideały młodości nigdy nie możemy być pewni, żeśmy je pogrzebali na zawsze. Kiedy kto miłował przed dwudziestym rokiem życia literaturę, tak jak ją miłowałem ja na przykład, ten nie zaspokoi się ani usprawiedliwi w swoich oczach, gdy w 26-m roku zrezygnuje z tych wyżyn ducha na rzecz twardej konieczności życiowej. A więc ten Piotr Fauchery zapamiętał moje wiersze i moją nowelkę! Czyż ja mogłem powiedzieć mu dzisiaj, że po tych pierwszych próbach zrozpaczyłem o sobie i wszedłem na inną zupełnie drogę? Za nic! A oprócz tego zaczął majaczeć przed moją pamięcią obraz biur redakcyjnych dziennika, i rozlegał się głos ironiczny dyrektora: Interviewować chcesz takiego człowieka jak Fauchery? Ależ ty tego nie dokażesz nigdy... Dosyć! pomyślałem zdecydowany zupełnie tym razem, i z całą stanowczością chwyciłem się roli, którą sobie naznaczyłem przy tem spotkaniu.

„Przybywam do Nemours, zacząłem tedy, aby bez przeszkody popracować nad obszerną powieścią, którą rozpocząłem niedawno. Jej tytuł: „W jakim wieku kochamy?" Otóż co do tego wszystkiego, co stanowi założenie mojej pracy, radbym poznać opinie twoje mistrzu.

Zdawało mi się, ale może było to przywidzeniem tylko, że jednocześnie z wygłoszeniem tytułu owej rzekomej powieści mojej, coś niby uśmiech, niby cień jakiś zabłysnął w oczach i ukazał się w kącikach ust mojego słuchacza, a mnie niewiedzieć dlaczego przyszły na myśl twarze obu tych kobiet młodych, spotkanych w przedsionku.

Czyżby twórca tylu arcydzieł dyssekujących serce ludzkie, chciał przeżyć sam jeszcze jeden rozdział w tym rodzaju, zanim napisze o tem ostatnie słowo swoje?

Nie miałem czasu na zgłębianie trafności tych przypuszczeń, bo mój gospodarz sięgnąwszy do kubka onyxowego stojącego na biurku, wziął ztamtąd papierosy, a gdy podał jednego z nich mnie a sam zapalił drugiego, zmieniły się role, bo on zaczął wypytywać teraz, a na mnie przyszła kolej odpowiadać na jego pytania. Teraz on myślał głośno w mojej obecności, a odemnie odpadały znowu powoli moje machiaweliczne kombinacye w miarę jak się zagłębiałem w stosunek poufałego obcowania z tym umysłem, który oddawna miał dla mnie swój urok szczególny. Dodajmy do tego, że była to pierwsza w życiu mojem

chwila takiego w połowie poufnego zetknięcia się z jednym z największych pisarzów naszej epoki. Miałem sposobność zauważyć w ciągu tej pogadanki szczególną tożsamość między jego słowem pisanem a sposobem tłómaczenia się w rozmowie, podziwiałem zachwycającą prostotę, z jaką pozwalał sobie na szczerość zupełną wobec pierwszego lepszego przybysza, jakim byłem ja na przykład, rozkoszowałem się wybitną inteligencyą tego człowieka, żywością jego wrażeń, przy zupełnym braku owej wyższości, którą nadają sobie zazwyczaj ludzie, tego co on stopnia wziętości i sławy.

— Przypuszczać, że mężczyzna zdolny jest kochać do pewnego tylko wieku, a później przestaje być dostępnym temu uczuciu, jest to mylić się zupełnie, mówił Piotr Fauchery. Człowiek skoro tylko zdobyć się mógł na tego rodzaju egzaltacyą idealną raz w życiu, nie przestaje nigdy kochać jednej i tej samej istoty. Znasz pan zapewne doświadczenie jednego z fizyologów współczesnych, który na pewnej liczbie portretów wykazał, czem jest ów nieujęty rys podobieństwa, który my zwiemy typem rodzinnym. Bierze on dwadzieścia mniej więcej fotogramów osób tej samej krwi, a później fotografuje te wszystkie twarze na jednej płycie, rozmieszczając je odpowiednio. Tym sposobem przychodzi on do typu wspólności rysów, który wyróżniając te rysy od wszelkich innych, wynajduje ich cechę charakterystyczną. Otóż ja jestem najmocniej przekonanym, że gdybyśmy zdjęli odbicia fotograficzne wszystkich kobiet, które mężczyzna dany kochał w ciągu swojego życia, albo które mu się zdawało, że kocha, gdybyśmy te portrety umieścili odpowiednio do celu, przekonalibyśmy się niewątpliwie, że wszystkie te twarze są do siebie podobne. Najmniej stały mężczyzna, który zmieniał przedmiot miłości pięć, sześć, a niechby i dwadzieścia razy — taki mężczyzna nawet ścigał w tych wszystkich kobietach tak od siebie różnych pozornie, zawsze jeden i ten sam typ rysów. Cała rzecz w tem, w jakim wieku spotkał on ten pierwowzór kobiety, którego podobiznę idealną nosi w duszy swojej.

Wiek odpowiedni dla uczucia miłości? powtarzał on jak gdyby do siebie samego. Ależ najgłębsze uczucie miłości jakie może kobiecie natchnąć mężczyzna — uczucie, którego ja byłem świadkiem, wzbudził właśnie jeden z mistrzów naszych — poeta znany powszechnie, a ten człowiek miał wówczas siedmdziesiąt lat z górą. Prawda i to, że trzymał on się prosto jak młodzieniec jaki, że chodził krokiem tak pewnym i lekkim, jakim pan chodzisz naprzykład, że umiał rozmawiać jak Rivarol, a pisał wiersze równie piękne jak de Vigny; przytem był bardzo ubogi bardzo opuszczony i bardzo nieszczęśliwy. Wszak pamiętasz co mówi Otello szekspirowski? „Ona pokochała mnie za niebezpieczeństwa, w których narażałem życie, a ja pokochałem ją za to jej współczucie..." Wracając do poety o którym wspomniałem, miłość którą on obudził dla siebie w sercu cudzoziemki bardzo wysoko urodzonej, bardzo pięknej i bajecznie bogatej, stała się powodem, że ta kobieta dla niego nie poszła nigdy zamąż, że wynalazła sposoby na to, aby go pielęgnować w jego ostatniej chorobie wbrew woli całej familii swojej, i że teraz już wykupiwszy od spadkobierców wszystko co kiedykolwiek za życia stanowiło własność wieszcza, umieściła to w meszkaniu jego, które pozostaje po dziś dzień takiem, jakiem było w jego ostatniej godzinie. A to już dziesięć lat dobiega od tej chwili.

Gdzież przyczyna tego fenomenu? Oto widzisz pan, i ta kobieta także spotkawszy człowieka trzykroć starszego od siebie, odnalazła w jego twarzy rys najcharakterystyczniejszy tej postaci idealnej, którą wypielęgnowała na dnie duszy swojej... A Göthe, a Lamartine i tylu innych?

Co się tyczy pana jednak, to jeśli masz podnieść się na wyżyny takie—jeśli chcesz odtwarzać uczucia tak subtelne, musisz pan koniecznie wyrzec się mizernej obserwacyi faktów bez znaczenia, która jest chorobliwą prawdziwie manią twórców dzisiejszych.

Ale uważaj bacznie aby ten twój sześćdziesięcioletni zakochany nie był ani śmiesznym, ani wstrętnym, i tutaj potrzeba ci nadać mu to, co stary Corneille przyznawał sobie z taką dumą, mówiąc o sobie do margrabiny:

Jednak o pani! posiadam zalety,
Których niszczyciel-czas nie dotknie zgoła,
Więc mimo wieku późnego niestety,
Lśni młodość wieczna w zmarszczkach mego czoła.

Miejże i ty odwagę, zajrzeć na dno uczuć podnioślejszych — twórz postaci wyższego stylu a realne i żyjące. Cała sztuka romansopisarza na tem właśnie polega.

Tyle było stanowczej pewności siebie w spojrzeniu mistrza, że on sam wydał mi się w tej chwili jedną z tych postaci, do odmalowania których zachęcał mię tak wymownie, a wraz z tem i cała teorya takich sześćdziesięcioletnich, którzy twierdzili śmiało, że obudzić jeszcze mogą w kobiecie uczucie miłości, nie wydawała mi się nadmiernie pretensyonalną. Nadto przytem żywy był kontrast między światem myśli, w którym obracał się ten wielki artysta, a atmosferą handelku literackiego, w której ja czułem się uwięzionym od kilku miesięcy. Wszystko więc znowu nabierało barw i tonów z czasów mojej młodości, we wszystkiem harmonizował z tymi snami moimi człowiek, którego talent po napisaniu 30 tomów błyszczał jeszcze całą świetnością dawną, a którego maska postarzała zdawała się żywem stwierdzeniem pięknej dewizy: Ponieważ koniecznie trzeba się zużyć — zużywajmy się szlachetnie.

To też jego chudość opowiadała niejako o surowości jego prac i studyów — jego usta wyrażały nieugiętość charakteru—czoło poorane szerokiemi bruzdy miało coś z bladości papieru, w który wpatrywał się od lat tylu, a przytem delikatność ręki starannie utrzymanej, powściągliwa elegancya jego układu — coś patrycyuszowskiego z urodzenia w obejściu z ludźmi — to wszystko świadczyło wymownie, że ocalił on to swoje „ja" w życiu pełnem pokus, któremi był otoczony, a te pokusy nie naruszyły z pewnością w niczem etyki intellektualnej pracownika myśli. W dodatku ten wielki człowiek wydawał się człowiekiem prostomyślnym, bo nagadawszy się ze mną do woli zakończył:

— Ponieważ jesteś pan gościem w Nemours, spodziewam się, że nie po raz ostatni pana oglądam, a dzisiaj nie chciałbym, żebyś odszedł zanim cię przedstawię gospodarstwu tego domu.

I co tu było odpowiedzieć?

W taki też sposób skromny reporter dziennika „le Boulevard" znalazł się punkt o piątej godzinie wieczorem za stołem w wielkim salonie zamkowym, w którym noga żadnego reportera nie postała dotąd z pewnością. Tam przedstawiono go starej margrabinie de Proby, która ugaszczała u siebie mistrza Fauchery — notabene przedstawiono, jako młodego romansopisarza i poetę z wielką przyszłością. Tam indagowany uprzejmie przez siwowłosą gospodynię domu o te rzekome arcydzieła literackie, opowiadał on z rumieńcem na twarzy wprawdzie, ale opowiadał w każdym razie wiele baśni i kłamstw, które w łaskawości swojej brała ta pani niewątpliwie za szczerą prawdę, tak jak ów rumieniec wydawać jej się musiał zapewne oznaką młodzieńczej bojaźliwości. A w dodatku jak gdyby złośliwy jakiś duch uwziął się mnożyć pokusy do złego czynu, weszły niespodzianie i te dwie młode kobiety, które rano widziałem w przedsionku.

Cóż za przepyszny komentarz do rozmowy o wieku miłości miałem mieć teraz przed oczyma! Wszystko — wszystko, przekonałem się, objaśniało się zupełnie, a dostrzegłem to po pierwszych wyrazach wymienionych między podstarzałym autorem, a jedną z przybyłych młodych kobiet. Była ona panną lat mniej więcej dwudziestu — nazwisko jeśli dobrze usłyszałem de Roussaie. Wzrostu wysokiego, twarzy mocno pociągłej, oświetlonej parą oczu czarnych szczególnie płomiennych i stanowczego charakteru; dziwnem odznaczała się ta młoda osoba podobieństwem do portretu znajdującego się w galeryi Louvru, którego autorem wedle powszechnego mniemania ma być Francia. Dokoła jej ust i nosa błąkała się ta sama powściągana nerwowość, ta sama gorączka opanowywana siłą woli jedynie, a ja po kwadransie zaledwie jej rozmowy, ze sposobu, w jaki słuchała i odpowiadała temu człowiekowi, mogłem ocenić jakie zajęcie niezmierne budził w niej stary Fauchery. Jak ona wsłuchiwała się w każde jego słowo — jak drżał jej głos, gdy jej przyszło odpowiedzieć na pytanie, podczas gdy on, wsławiony autor upojony powodzeniem, pławił się w atmosferze tego naiwnego uwielbienia, i pod jego wpływem odzyskiwał całą żywość i sprężystość wrażeń, które stanowią najwyższy a wyłączny wdzięk i przywilej młodości.

Zrozumiałem, dlaczego przytaczał Göthego z epoki młodej dziewczyny z Marienbadu, i uśmiechając się do siebie, porządkowałem sobie różne szczegóły, podczas gdy mój powóz najęty unosił mnie ku Nemours. Tak jest—on kocha tę małą i ona go kocha. Niedługo dowie się świat o tem małżeństwie, a że znajdzie Fauchery epigonów między ludźmi swojego wieku—wątpliwości nie podlega.

A co powie Pascal, gdy mu oznajmię, że byłem na tej uroczystości?

Ah! to mała rzecz, ale co powie Fauchery, gdy przeczyta w dzienniku całą rozmowę swoją powtórzoną dosłownie? Nie jest w porządku to wszystko, co ja robię — wątpliwości nie ulega, że nie jest, ale też i krzywdy dla niego nie ma w tem wielkiej. Zresztą walka o byt!...

Pamiętam dobrze, jakimi wybiegami uspokajałem swoje sumienie, które głośno do mnie przemawiało: „Nie masz prawa odkrywać ogółowi tego, co ci zwierzył znakomity pisarz w mniemaniu, że jesteś literatem — nie reporterem. Kiedy mi nie starczało sofizmatów na przygłuszenie tych protestów, przypominałem sobie głos redaktora to jego: „Nie będziesz mówił z Fauchery'm." I wyznać muszę, że to przypomnienie było najskuteczniejszem do zwalczenia skrupułów moich.

Przybyłem z powrotem do Nemours trochę za późno; pociąg do Paryża nie odchodził już dzisiaj, nie pozostawało tedy jak zabić wieczór w jakiś możliwie korzystny sposób, a że mi dano pokoik cichy, więc, zrodziła się nagle nieprzeparta ochota zredagowania wstępu do mojej ankiety.

Pisałem pod świeżem wrażeniem tego, co widziałem po południu, i w ten sposób podniecany przedmiotem zapełniłem cztery ćwiartki, które dziś mogę sobie przyznać, nie byłyby oszpeciły nawet takiego pisma jak dziennik Goncourt'ów. Było tam wszystko. I mój przyjazd do pałacu i opis samej budowli—bardzo milutkiego pomnika architektury XVIII stulecia, ocienionej firankami drzew i alejami strzyżonemi i salon mistrza—mistrz sam — nakoniec herbata, a przy niej usposobienie tego człowieka zestarzałego w kółku przyjaciółek starszych i młodszych... Nie brak tam było nic prócz słowa zakończenią.

Znajdę je jutro... myślałem, kładąc się do spoczynku, bo tak zawsze bywa z naszemi pracami literackiemi, i usnąłem pod wrażeniem spełnionego obowiązku. Czułem, że pod formą interviewu napisałem mój najlepszy rozdział rozpoczynającego się romansu.

(Dokończenie nastąpi).

Protest kobiet niemieckich.

Parlament rzeszy niemieckiej rozpatruje na obecnej sesyi swojej kodeks cywilny w celu zaprowadzenia zmian, które z różnych względów okazały się koniecznemi. O tem co z całości ustaw dawnych skazuje duch czasu na zagładę i czem to ma być w przyszłości zastąpionem, mówić oczywiście w tem miejscu nie będziemy, idzie nam tylko o tę część małą projektu reformy, która dotyczy stanowiska kobiety w rodzinie i społeczeństwie.

Jak wiadomo czytelniczkom naszym, kobieta w Niemczech okazuje się nader umiarkowaną, logiczną i konsekwentną w żądaniach swoich, i to jej wyjątkowe trzymanie się w granicach nakreślonych przez rozsądek i dobre zrozumienie stanowiska, po wielekroć razy mieliśmy sposobność zaznaczyć w Tygodniku. Otóż pokazuje się, że nie dość jest żądać mało, aby być wysłuchanym—nie dość wskazywać krzywdę wyrządzoną i domagać się naprawienia jej, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Miała sposobność przekonać się o tej smutnej prawdzie kobieta niemiecka w ostatnim miesiącu roku bieżącego, i oto głos skargi i słusznego oburzenia, którym się ona odzywa do sfer prawodawczych bezpośrednio, a pośrednio do sumienia i poczucia słuszności całego niemieckiego społeczeństwa. Ton pełen spokoju i godności, który zachowuje ta zawiedziona tak dotkliwie w nadziejach swoich, przemawia za nią wymowniej niż wszelka namiętna napaść na cały istniejący porządek rzeczy, których tyle widzimy na dalszym zachodzie Europy. Przekonać się o tem umiarkowaniu możemy z wielce charakterystycznego protestu, który wystosowało do parlamentu rzeszy drezdeńskie stowarzyszenie opieki praw kobiety. Ten protest podajemy poniżej w dosłownem brzmieniu:

„Komisya wysokiego sejmu rzeszy w pierwszem zaraz czytaniu przyjęła bez żadnych prawie zmian projekt do prawa o stosunku między małżonkami.

„Tem bardziej zadziwia to opinią publiczną, że przed przyjściem pod obrady nowego prawa i przed odesłaniem go do komissyi zarzuconym był wysoki sejm mnóstwem petycyj, które wyrażały nadzieję, iż tym razem uznają prawodawcy Niemiec konieczność pogodzenia nowego ustawodawstwa z duchem czasu i wprowadzenia zmian, o które się współczesne warunki bytu naglące dopominają.

„Petycye o których mowa nie od samych wyłącznie kobiet pochodziły — przeciwnie objawili w nich zapatrywania swoje na te sprawy mężowie wybitni wszelkich stanów, a gdy śmiało powiedzieć można, że podniesiony do wysokiego sejmu głos był wyrazem opinii całej wielkiej niemieckiej ojczyzny, nie może i stowarzyszenie drezdeńskie opieki praw kobiety, nie wypowiedzieć przy tej sposobności uczucia swojego wielkiego zawodu i rozczarowania.

„Imieniem kobiecej społeczności Niemiec protestuje stowarzyszenie przeciw takiemu rozmyślnemu pomijaniu całkowicie uzasadnionych żądań kobiety dzisiejszej. Wszakże w tych żądaniach szło tylko o to, aby prawodawcy zechcieli zapatrywać się na stanowisko kobiety w rodzinie nie wedle przestarzałych pojęć, któremi rządziły się społeczności dawne, ale wedle aktualnych potrzeb, i stosownie do wymagań stosunków obecnych.

„Czy zechcemy mówić o przyjętym bez żadnej prawie zmiany projekcie do prawa regulującym stosunki majątkowe między małżonkami — czy rozbierać będziemy nowe utrudnienia a raczej uniemożliwienia rozwiązania małżeństwa, którego to rozdziału nie pociąga za sobą nawet obłęd umysłowy jednego z współmałżonków — czy nakoniec przyjdzie nam podziwiać pozostawienie na miejscu odwiecznych ograniczeń praw kobiety jako matki, zawsze przyjść będziemy musieli do wniosku, że zarówno pod względem obyczajowym jak ekonomicznym nie przestanie kobieta w przyszłości być ofiarą tej przemocy, która ją wbrew słuszności i prawu uciskała dotąd.

„Odwołując się raz jeszcze od zapadłej uchwały do uczucia sprawiedliwości reprezentantów narodu niemieckiego, zwracamy ich uwagę, że tam gdzie się kobiecie przypomina ciągle obowiązek przyrodzony, tam należy ją zabezpieczyć prawem, aby ten obowiązek mógł być istotnie spełnionym. Wraz z tem wyrażamy głęboką ufność naszą, iż choćby późno — choćby w ostatniej godzinie nad pogrzebaną oddawna ideą praw, któremi się rządziła społeczność rzymska, zatryumfuje duch naszej epoki i naszej cywilizacyi."

W każdym razie przyznać trzeba, że to inaczej brzmi, niż uchwały kongresu feministek zapadłe w Paryżu.

T. M.

Z życia Juliusza Simona.

Dzienniki francuzkie wyczerpnąwszą cały materyał do biografii zmarłego w ostatnich czasach Juliusza Simona, odmalowawszy go jako człowieka nauki i męża stanu, zbierają obecnie wszystko, co daje się wydobyć jeszcze z po za kulis politycznego i akademickiego żywota tego w istocie niepospolitego działacza ostatniej respubliki.

Charakterystyki żadnej gruntowniejszej podawać tu nie będziemy; Juliusz Simon nie należy do ludzi, z których dorobkiem naukowym i działalnością polityczną możnaby się rozprawić na kilku stronniczkach pisma tygodniowego. Ograniczymy się do przypomnienia pamięci czytelniczek, że był to człowiek w przekonaniach stały, nauki rozległej, opiniami republikanin w najdodatniejszem rozumieniu tego słowa, wyznawca szczery postępu w nauce i życiu, a zarazem nieprzyjaciel jawny skrajnych politycznych kierunków — zresztą umysł nawskroś francuzki, a nie wchodząc już w to z jakich pobudek — religijny do tego stopnia, że w jego kraju nazywano go „Massillonem świeckim."

Po roku 1872 przyjął Juliusz Simon czynny udział w pierwszem ministeryum. Dostała mu się teka sztuk pięknych a następnie ministeryum oświaty i wyznań. Z tych właśnie czasów opowiadają dzienniki epizod dowodzący jednocześnie wielkiej gruntowności w zapatrywaniach na obowiązki, które sprawował, i niezwyczajnej zręczności, której dał przykład godząc interesa bardzo sprzeczne i bardzo drażliwej natury. Oto jak się miały rzeczy, odnośnie do faktu, o którym mówić zamierzamy.

W roku 1878 czy 1879 wydała pani Sand romans zatytułowany: „Mademoiselle la Quintinie." Książka zrobiła wrażenie, ale krytyka odcienia poważnego odzywała się o tej pracy z pewnemi zastrzeżeniami. Wartości artystycznej niezaprzeczano powieści, ale pomysł nazywano szczególnym, a nawet dziwacznym, psychologia wedle słów krytyki była niesłychanie śmiałą, to znaczy, że gdyby mowa była o autorze mniejszej sławy i popularności, nazwanoby tę psychologię wyrażeniem o wiele dosadniejszem.

Niemniej Quartier Latin zagustowało w utworze, bo jak wiadomo, zacięcie reformatorskie autorki, która tyle potrafiła z życia kobiety odrzucić, i taką jawną wojnę wypowiedzieć obyczajom, w tamtych sferach koniecznie popularnem być musiało.

Powieść jako powieść byłaby sobie przeszła bez głębszych śladów, gdyby autorka nie była postanowiła skorzystać z republikańskiego prądu, i nie przerobiła powieści na dramat. Sława pani Sand jako autorki dramatycznej była zawsze niewielka, a ile razy nie uciekała się do współpracownictwa jawnego lub ukrytego takich ludzi jak Aleksander Dumas na przykład, tyle razy sztuka nie dosyć miała przymiotów scenicznych, a przeto i niedosyć powodzenia.

Tym razem obeszła się autorka Consuelo be kollaboracyi żadnej, a mimo to dyrekcya Odeonu przyjęła sztukę, bo we Francyi pewnym powagom i pewnym sławom nie odmawia się niczego. Pisano więc dużo o tym nowym utworze,

zapowiadano go, trąbiono na wszystkie strony, a że nie zaniedbano zamieścić i treści dramatu, musiał z konieczności przypomnieć sobie tę powieść i Juliusz Simon także, tem bardziej że teatr należał do jego juryzdykcyi, jako ministra sztuk pięknych. Co prawda w tym wypadku więcej suszyć sobie nad nim musiał głowę minister oświaty i wyznań, niż minister sztuk pięknych, ale skończyło się na tem, że zaniepokojony Juliusz Simon kazał sobie nową sztukę podać w rękopisie.

Ani sposobu — ani możliwości żadnej! Mademoiselle la Quintinie na scenie Odeonu, ani wogóle żadnego teatru większego ukazać się nie mogła. Drażliwości poruszonych moc niezmierna, a przytem wchodził tam ksiądz w roli tak niezgodnej z jego powołaniem, że pomimo usiłowań nawet reżyseryi, aby jaskrawości złagodzić do minimum, rzecz wychodziła niemożliwie, tem bardziej, że i ta reżyserya nie wiele więcej dokazała, oprócz skrócenia sutanny księdza bohatera dramatu.

Po przeczytaniu rękopisu postanowienie ministra było nieodwołalne, ale postanowić a wykonać były to rzeczy całkiem różne od siebie.

W takich kłopotach nie pozostało Simonowi nic innego jak zawezwać do siebie dyrektora Odeonu, którym był podówczas Feliks Duquesnel, a po przyjściu tego ostatniego taka się mniej więcej zawiązała rozmowa między tymi dwoma ludźmi.

— Mój dyrektorze—pytał Simon,—czy istotnie myślisz wystawić tę sztukę?

— A rozumie się. To już zdecydowane.

— I wierzysz w powodzenie?

— Ja nigdy nie przesądzam tej kwestyi. O powodzeniu wiem po pierwszem dopiero przedstawieniu.

— To niebezpieczna rzecz bardzo.

— Stało się.

— A jednak lepiej byłoby wam dać za wygraną.

— Ani sposobu. Dekoracye nowe, kostyumy nowe, role rozdane, dzienniki napisały co się dało, a nawet więcej.

— Co tam znaczy to wszystko. Wierzaj mi dyrektorze, że lepiej byłoby zaniechać tej myśli. Ten dramat upadnie — musi upaść.

— Czy to czasem nie zakaz ze strony waszej, Ekscellencyo.

— Zakaz? Co też tobie do głowy przychodzi. Ja miałbym zakazywać sztuki tej autorki.

— A więc Ekscellencya dajesz swoje upoważnienie?

— Nie.

— Jeżeli nie upoważnienie to zakaz. Ja to tak rozumiem.

— Źle rozumiesz, kochany dyrektorze. Ja ani pozwalam, ani zabraniam, ale chciej mi powiedzieć, czy rozumiesz ty, kiedy do ciebie mówią półsłówkami?

— Mogę zrozumieć i jedną czwartą słowa nawet, ale tutaj nie mogę tego zastosować. Jeśli tylko nie zakaz wyraźny, to ja nic nie poradzę...

— Zaczekaj! Właśnie, że ty jeden tylko poradzić możesz i dlatego odwołuję się do ciebie a nie do kogo innego.

I tu z uprzejmością i zręcznością sobie właściwą rozwinął Juliusz Simon całą myśl swoją. Dramatu niepodobna było wystawić, bez dotkliwego obrażenia uczuć znacznej większości inteligencyi francuzkiej. Wytłómaczył on to dyrektorowi teatru dobitnie i wreszcie przekonał go tak zupełnie, że istotnie załatwienie całej drażliwej sprawy przyjął Duquesnel na siebie. Szło o utwór sceniczny, więc jako środek ułożono małą komedyą, a przypadek sam wmięszał się tutaj na początek nader szczęśliwie.

Przedstawiający bohatera dramatu, którego uzdolnienie wzięła w rachunek autorka, dostał pomięszania zmysłów przed dwoma miesiącami i roli jego uczył się obecnie inny jakiś aktor. Ten nie mógł już zwaryować na rozkaz, ale mu na trzy dni przed wystawieniem zaimprowizowano podagrę bardzo ciężką, wskutek której nastąpiła pierwsza zwłoka. Po niej przyszła kolej na aktorkę mającą przedstawić rolę tytułową, która zachorowała na malaryą, później jeszcze zaszła konieczność zmienienia czegoś w toalecie artystki, dosyć że manewrowano bardzo umiejętnie, podczas gdy sama pani Sand powtarzała ciągle do blizkiego swego otoczenia.

— Ta sztuka ma jakieś osobliwe nieszczęście. Doprawdy, nie rozumiem tego!

Odłożono wreszcie do roku przyszłego. W roku przyszłym jednak ministrem był tak samo Juliusz Simon, a dyrektorem Odeonu ten sam Duquesnel, więc też powstawały przeszkody za przeszkodami i ciągnęły się bez przerwy aż do roku 1876, to jest do dnia śmierci autorki, która nigdy nie dowiedziała się za życia, że ją w ten sposób mistyfikował najlepszy jej przyjaciel osobisty, i jeden ze szczerych zwolenników jej talentu pisarskiego.

K.

TO I OWO.

✱ Wielkie fortuny w Niemczech wedle wykazów sporządzonych do podatku dochodowego w ten sposób dadzą się uklasyfikować:

Największy dochód 8,500,000 marek wykazał Krupp z Essen. Nie można się temu dziwić, bo w państwie najbardziej militarnem, największem powodzeniem cieszyć się powinna wytwórczość przygotowująca materyał wojenny. W każdym razie stanowi ten dochód połowę całą uposażenia korony pruskiej.

Drugim z kolei jest Rotschild, który posiada 7 milionów marek dochodu rocznego.

Trzeci Hr. Hutten-Czapski kapitan 14 pułku huzarów. Jego dochód równa się 3,856,000 marek.

Następnie podają 7 osób, których dochody przewyższają 2 i pół miliony marek.

Trzynastu rozporządzających w ciągu roku przychodem od 1,250,000 marek do dwóch milionów.

Co się tyczy zamożności małej, podają wykazy iż osób zakwalifikowanych do podatku dochodowego, a zatem takich, których dochód przenosi 1,125 marek, jest w państwie niemieckim tylko $^1/_3$ ludności całej.

Wielka to różnica od francuzkiej zamożności, rozumie się różnica na niekorzyść.

✱ Ameryka tylko jedna zaspokoić może dzisiejszy głód wrażeń, nie zapominając przytem o korzyściach materyalnych w zamian za pomysłowość swoją. Pożary, burze morskie, bitwy, walki byków przeżyły się już na scenach teatrów i cyrków, pożądanemi więc byłyby katastrofy jakieś rzeczywiste i oto jedno z tego rodzaju widowisk, na które zbiegać się będą wkrótce mieszkańcy drugiej półkuli. Na osobno do tego celu obranym torze kolejowym, wprost wzniesionych estrad i amfiteatrów spotykać się będą dwa wypuszczone ze stron przeciwnych pociągi kolejowe. Ma to mieć miejsce w dniu 30 Maja roku przyszłego w Bukley-Park na linii Columbus-Toledo. Pociągi składać się będą z parowozów i wagonów wysortowanych i w ten sposób będą sobie płacić kompanie za zużyty materyał przewozowy.

Uderzenie musi być energiczne, bo pociągi biedz będą z szybkością 100 kilometrów na godzinę. Czy aby głodni emocyj Yankesi zadowolnią się katastrofą dwóch pociągów, w których nie będzie żadnego pasażera? Zawsze to będzie wrażenie niezupełne.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

LUDWIK

HOTEL EUROPEJSKI

W WARSZAWIE,

z najpierwszych domów paryskich

OTRZYMAŁ

NOWOŚCI:

Grzebienie touffes w imitacyi brylantów, stylowe, fantazyjne;
Grzebienie touffes écaille blonde, jaspe auréole;
Grzebienie touffes fantazyjne szylkretowe i gładkie;
Grzebienie touffes fantazyjne złocone, gładkie złocone;
Grzebienie touffes rogowe celuloidowe w różnych modelach i wielkościach;
Egrety brylantowe stylowe Louis XV, Empire, Egrety pique;
Diademy brylantowe fantazyjne;
Wianki ślubne;
Kwiaty paryskie do koafiur.

47213

CENY NIZKIE.

Woda Mexico



WSTRZYMUJE wypadanie **włosów**

PUDER WARSZAWIANKA.



PUDER WARSZAWIANKA.

13 TŁOMACKIE SKŁAD GŁÓWNY.

Woda Kolońska LUBELSKA Feliksa Warszkiego.

Dostać można w składach aptecznych i perfumeryach.

44262

Uznanie i poparcie jakie pracą sumienną uzyskać zdołałem, zachęciło mnie do tem gorliwszych starań i szerszej działalności.

MAGAZYN MÓJ
Ubiorów Mezkich,

egzystujący przy ulicy Ś-to Krzyzkiej № 19 (obok Poczty),

zaopatrzyłem w świeżo sprowadzony wybór materyałów zagranicznych i krajowych, gustownych i trwałych, a czerpiąc je z pierwszych źródeł, zyskuję znaczne ustępstwa, mogąc tem samem ubierać dobrze i tanio. Wszelkie obstalunki tak z własnych jak i powierzonych materyałów wykonywam starannie, gwarantując dokładne i terminowe wykończenie. W nadziei, że odwołanie się niniejsze zachęci Sz. Publiczność do korzystania z usług fachowca specyalisty, pozostaje z szacunkiem

Edward Sawicki, Krawiec.
ulica Ś-to Krzyska Nr 19 (obok Poczty). 43466

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy
STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie.

RĘKAWICZEK
NAJWIĘKSZY WYBÓR

Letnich i Skórkowych

Chmielna 3. m. 20 (I piętro). 454810

OGŁOSZENIA

przyjmuje Administracya
26. CHMIELNA 26.
oraz
WARSZAWSKIE BIURO OGŁOSZEŃ
8. WIERZBOWA 8.

STROJE ŻAŁOBNE

KONCESYONOWANE Z KAUCYĄ 7,500 Rs.

NAJTANIEJ

Warszawskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe
oraz MAGAZYN ŻAŁOBNY

F. ŚWIEJKOWSKIEGO

SENATORSKA 32. MARSZAŁKOWSKA 136.

Suknie, kapelusze, welony, woalki i t. p. posiada w wielkim wyborze.

Pogrzeby, przewożenie zwłok, ekshumacyę, budowę grobów i pomników załatwia szybko.

47118

Stroje żałobne — Ubiory pośmiertne — NAJTANIEJ

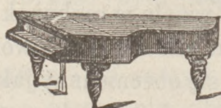
UBIORY POŚMIERTNE

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko *przy zakładzie froeblowskim* *Jadwigi Chrząszczewskiej*
w Warszawie, Nowy-Świat Nr 21. 45288

Warszawa, Mazowiecka Nr 16,

Największe W KRAJU SKŁADY



FORTEPIANÓW,
PIANIN *I ORGANÓW*

HERMAN GROSSMAN

FILIE:
St-Petersburg *ul. MORSKA 33,*
MOSKWA Kuznieckі Most,
LUBLIN Królewska Nr 207.

SPRZEDAŻ NA RATY po rs. 25 miesięcznie.

Wynajem.

Illustrowane katalogi gratis. 45946

MILION SNÓW.

Nowy wielki Sennik, zawierający przepowiednie wszystkich snów z dodaniem **wróżenia z kart oraz z rąk,** z oznaczeniem panujących planet. Cena kop. 20, pocztą k. 25.

SKARBCZYK ULUBIONYCH PIOSENEK.

Wybór najpiękniejszych kupletów z operetek i komedyjek. Książka, odznaczająca się nader starannym doborem najpopularniejszych piosenek. Cena kop. 20, pocztą kop. 25. Do nabycia w księgarni **Ch. J. Rosenweina,** Marszałkowska 114, oraz we wszystkich księgarniach, kioskach i na prowincyi. (Pocztą można nadsyłać markami). 46032

WIELKI WYBÓR

wyrobów skórzanych jako to: Albumy do fotografii najnowszych fasonów, Bivoir'y, Teki do papierów, Necessairy męzkie podróżne oraz damskie ozdobne, Portmonetki, Portefeuilles, Porte cigarettes etc.

BRONZY

jako to: Garnitury piśmienne damskie i męzkie, Ecritoir'y, Kandelabry, Lichtarze, Zegary, Wazony do kwiatów, Tace do biletów, Garniturki do palenia, Press papier i t p.

PAPIER LISTOWY

i karty korespondencyjne najnowszych fasonów, Ivoir kolorowe oraz ozdobne. Perfumy Pinaud'a i Atkinsona. Oryginalna Woda Kolońska Johann Maria Farina, etc.

POLECA 47023

SKŁAD

Papieru i Towarów Galanteryjnych
Władysława Bednawskiego

przy ul. Miodowej Nr 2.

Proszę się przekonać

że najlepszych i najtańszych cukrów i herbatników można dostać tylko!!! u

46144

Zygmunta Kraszewskiego

Rymarska 16, Wierzbowa 5.
Marszałkowska 111, Nowy-Świat 37.

Wyborowych cukrów z pudełkiem funt 50 k.
Najdelikatniejszych pralin funt 60 kop.
Najwyborniejsze torciki Noemi sztuka 25, 40 i 50 kop.
Wyborowej Babki funt 25 kop., piaskowej 35 kop.
Karmelków owocowych funt 25 i 30 kop.
Czekolada i Kakao kuracyjne.
Ciasteczek deserowych funt 40 i 50 kop.
Biszkoptów i Herbatników funt 30 kop.

Fabryka Lodowni Pokojowych i Naczyń Kuchennych

DREWNIANYCH

ANTONIEGO RYCHTER,

w Warszawie, **MARSZAŁKOWSKA Nr 62.**

Przyjmuje wszelkie obstalunki i reparacye. Cenniki na żądanie gratis. 46544

41396 **Wszystkie Książki i Nuty** przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Maurycego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Tamże **Wypożyczalnia** (czytelnia) **Książek** polskich i francuzkich.

SZKOŁA PRYWATNA MĘZKA
K. GROCHOWSKIEGO

Nowy-Swiat Nr 31, róg Chmielnej,

specyalnie przygotowuje uczniów do gimnazyum. Zapis kandydatów codziennie od godziny 9 rano do 3 po południu. Do oddziału przygotowawczego przyjmowani będą kandydaci, którzy ukończyli 7 lat, bez umiejętności czytania i pisania.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. „SAMOUCZEK" **POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6,** w Warszawie. 418924

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Іюня 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**